

Takie coś z innej bajki

Na początek absolutny recenzencki banal, ale i pewnik. Jola Richter-Magnuszewska jest naprawdę „z innej bajki”. Od wielu lat niezwykle konsekwentnie ją opowiada. Każdą kolejną ilustracją np. w Świerszczyku, z którym współpracę bardzo sobie ceni, każdą kolejną książką, namalowanym obrazem, ciepłym i mądrym słowem na blogu o tytule identycznym, jak nazwa prowadzonej wspólnie z mężem pracowni. Gdy jednak próbujemy precyzyjniej określić naturę owej *bajki*, zaczynamy zdawać sobie sprawę z paradoksów. Bo *innej*, to znaczy *jakiej*? Odmiennej od dawnych baśni? Bajeczek, którymi czasem próbuje się zamydlć dzieciom oczy? Czy może od tego, co przywykliśmy uważać za „współczesny tryb życia”?

Jej ilustracje zwykło się określać jako „pełne powietrza”, „otwierające drogę wyobraźni”, „oniryczne”. Wiele powstało do książek, wierszy (nawet do spektaklu) związanych z ulubioną materią snu, podobno też wówczas „przychodzi” do artystki najwięcej pomysłów. Nieco ogólniej mówiąc – większość obrazów mieści się gdzieś na granicy rozmaitych światów. Dnia i nocy, ducha i materii, sacrum i profanum – by przywołać najbardziej już fundamentalne opozycje. Nawet jeśli powstały w innym celu, większość znakomicie się sprawdzi jako świąteczne kartki. Tak bardzo są przesycone nadzieją i magią, ale i jakąś nieuchwytną tęsknotą za przekroczeniem granic i tym, co do końca nigdy nieosiągalne.

Sporo tu podniebnych lotów (np. na huśtawce), biegów, skoków i pływów. Pełne dynamiki diagonalne kompozycje i fragmentaryczność to ulubione chwytły ilustratorki. Często też zagęszczając się na marginesach, obrazy zyskują charakterystyczną pustą przestrzeń w środku. Oczywiście, to poniekąd kwestia „techniczna” – po prostu miejsce na tekst – ale też narzędzie pewnej filozofii. Zwróćmy uwagę, jak naturalnie, można rzec „organicznie”, ilustracje te wchłaniają w siebie słowa, do których zostały napisane. A z drugiej strony jak łatwo przekształcają się w plakaty lub funkcjonują zupełnie bez tekstu wiodąc swoją własną, intuicyjnie dla każdego zrozumiałą opowieść. I zawsze prowadzą ku czemuś więcej i dalej. Kolejnej stronie, kartce, otaczającemu światu, jak też wszelkim innym światom...

Największy zaś paradoks polega właśnie na tym, jak mocno wszystkie te pełne fantazji obrazy osadzone są w rzeczywistości. „Inną bajkę” Jola Richter-Magnuszewska pisze bowiem właściwie całym swoim, rozgrywającym się na co dzień na skraju Beskidu Niskiego życiem. Wydający się na pierwszy rzut oka utopią świat, w którym nie ma barier między człowiekiem i zwierzęciem, a naturalnym towarzyszem w dziecięcej kompanii są już nie tylko kot i pies, ale też krowa, koza, kaczka czy dzik (o kurach już nawet nie wspominając), dla niej i jej rodziny jest światem realnym. I chwala jej, że właśnie to doświadczenie przemycza do większości ilustracji jako kompensację, alternatywę i wzorcową przyszłość.

Osobną sprawą jest to, jak artystka tworzy te „matryce” poszczególnych gatunków. Tak chwilami charakterystyczne i udane, że mają szansę zaważać masową wyobraźnię na podobieństwo figurek Lizy Larson czy psów z jabłkiem Dana Kesslera. Nieco tylko zindywidualizowane, ale zarazem wzorcowe postaci wędrują z Magnuszewską z książki do książki i aż się proszą, aby się na tych kartkach nie zatrzymać, ale przeniknąć do naszego świata w formie przedmiotów codziennego użytku. Bezpretenjonalnie obojętne na kwestie awangardy i kiczu, nastawione zaś przede wszystkim na przekaz najważniejszych pierwotnych prawd i dobrych emocji. Artystka chwilami jakby celowo zaciera granice między

poszczególnymi „gatunkami” (w tym ludzkim), podkreślając zasadniczą wspólnotę. Można się zastanawiać, czy to próba wyjścia poza wyłącznie „ludzki” punkt widzenia dyktuje tak charakterystyczną dla niej formę ilustracji i perspektywę. Wszystkie te spojrzenia „rybim okiem” czy dystorsje...

Wracając wszakże do myśli głównej – wydaje się, że Jola Magnuszewska to taki bezkompromisowy, rzetelny i pełen twórczej pokory typ, dla którego prawda, autentyczność oraz wręcz jedność sztuki i życia to kwestie podstawowe. Swoje fantazje lubi weryfikować codziennym, cierpliwym doświadczeniem. Dość rzec, że nie ufając wyłącznie „wewnętrznemu dziecku”, do ilustrowania poczuła się gotowa dopiero wtedy, gdy sama została mamą, że wszelkie pomysły drobniawo konsultuje z całą rodziną i decydujący głos przypada jej synom. Tak częste w jej ilustracjach scenki rozmów i narad, wspólne doświadczenia i przygody wesołej kompanii wydają się absolutnie nieprzypadkowe. To też właśnie kolejny paradoks. Ta, tak ceniona za rozpoznawalny na pierwszy rzut oka styl i tak mocno przefiltrowująca każdą lekturę przez własne życiowe doświadczenia artystka nie zmierza do wyrażania jedynie osobistego punktu widzenia. Jak dawni bajorze chętnie przyjmuje raczej rolę medium, przez które wyrażają się doświadczenia zbiorowości, a nawet ducha miejsca. Uderzające, z jaką swobodą, nie sięgając po konkretne etnograficzne motywy, ale raczej po mechanizmy i zasady, sama takie mitologiczne opowieści słowem i obrazem tworzy.

Zwróćmy też uwagę, jak mocno wszystkie te ulubione ujęcia Joli przypominają nam fantastyczne filmy o kosmosie. Z tym silnie zaokrąglonym widnokregiem i budzącym nieokreśloną tęsknotę, wszechobecnym w oddali Księżycem. Rozumiemy dobrze – to właśnie dziecięcy punkt widzenia, a także – dodajmy od razu – pierwotny punkt widzenia mitu. Mitu, w którym rodzice, zwierzęta, każdy napotkany nieznajomy może się okazać bogiem lub herosem, własny dom i podwórko lub miejscowość są światem i pępkiem kosmosu, a każdy zwykły gest i codzienne wypadki mają zarazem znaczenie kosmogoniczne. Ze sfery archetypu wywodzą się ulubione tematy (oraz sposób ich obrazowania) ilustratorki – spotkania czy konfrontacje z innym – potężniejszym lub nieznanym. Wszystkie te pierwotnie obłe, a zarazem lotne wrzecionowate kształty... W tym też tkwi siła, z jaką – nie narzucając się – ilustracje te zapadają w pamięć nie tylko dzieciom, ale i dorosłym.

Choć na ogół w jej przypadku mniej znaczy więcej – potrafi też zaskoczyć. Spójrzmy na ów pelen detali i akcji cykl z życia zwierzęcego miasteczka. Czyżby artystka pozazdrościła specjalistce od tego rodzaju efektów – Magdzie Wosik? I od razu kolejna tajemnica – czy to kwestia umieszczonej w centrum zimowego pejzażu ślizgawki, nota bene przypominającej nieco średniowieczne mapy świata z tajemniczo wytyczonym szlakiem, czy tych scenek w okienkach? Tak czy inaczej, bardziej niż z jakąkolwiek dziecięcą ilustracją ten cykl kojarzy mi się z Brueglem. Bo też właśnie z malarstwa artystka czerpie wiele inspiracji. Może to kwestia nieco podobnego „ducha miejsca” – na początku przychodzi na myśl – nazywający swe obrazy „malowaną poezją” – Chagall, mnie niespodziewanie przypomniał się również piewca Lanckorony Kazimierz Wiśniak. Jola wspomina, że w czasie studiów wielki wpływ wywarła na nią atmosfera Krakowa, a więc pewnie też Piwnica pod Baranami...

Ilustracja to dla niej proste, dostępne każdemu (zwłaszcza dziecku) środki. Ołówki, kredki, pędzle i nożyczki. Nożyczki. Jakże inne możliwości oferują Joli Richter niż np. Mariannie Oklejak. Na pewno nie płaskie powierzchnie koloru ludowej wycinanki, czy – idąc już dalej historyczny palimpsest lub obliczone

Jola Richter-Magnuszewska

zinnejbajki@onet.eu



Malarka, ilustratorka. Od 1999 roku wspólnie z mężem prowadzi pracownię *Z Innej Bajki*. W 2011 roku zadebiutowała jako ilustratorka na łamach magazynu dla dzieci *Świerszczyk*. Od tego czasu nieprzerwanie ilustruje książki, teksty literackie w *Świerszczyku* i podręcznikach szkolnych. Współpracuje z wieloma wydawnictwami takimi jak *Nasza Księgarnia*, *Egmont*, *Literatura*, *Publicat*. Mieszka w Beskidzie Niskim. W swojej twórczości odwołuje się do motywów onirycznych, baśniowych, czerpie inspirację z folkloru karpackiego.



JOLA RICHTER
MAGNUSZEWSKA
ilustracje

Galeria Satyrykon · Legnica, Rynek 36 · 5.09–28.10.2017



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

organizator i wydawca Legnickie Centrum Kultury,
komisarz wystawy Janina Szlemko, tekst Beata Zborucka, fot. Autorki Green Canoe,
projekt graficzny, skład, redakcja Jasiek Zborucki, druk JAKS Wrocław,
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

na skrajne zaskoczenie kontrasty współczesnego kolażu. Choć artystka lubi się bawić fakturą, tu może najwyraźniej staje się widoczna ta najistotniejsza cecha jej warsztatu. To sztuka „praktyczna” i dążąca do harmonii. Czerpiąca z tego, co najbliższe. W tym z założenia, że nic się nie powinno zmarnować i otwierająca wyobraźnię na odnajdywanie analogii. Bo czyż ząbkowany brzeg kuponu tkaniny lub papieru nie przypomina do złudzenia fal, zmięta gazeta nieco przybrudzonego owczego runa, a nałożony na siebie cienki szary papier deszczowych chmur. Z kolei podrysowane wycięte postaci przywodzą chwilami na myśl szlachetność witrażu...

Widać wyraźnie – dostosowanie obrazu do wieku to dla ilustratorki kwestia ważna, jeśli nie podstawowa. W tym względzie gotowa jest też podjąć się najtrudniejszych wyzwań. Pewnie wie wszystko o etapach dziecięcej percepcji i rysowania, znaczeniu zmysłu dotyku czy „fazie koła”. Wydaje się jednak, że słynne wycucie, z jakim oswoją trudne momenty w dawnych tekstach, zawdzięcza przede wszystkim wrażliwości i intuicji. Z jaką swobodą barbarzyńsko czerwonym gryzmołem opowiada najmłodszym nową wersję krwawej legendy o Smoku Wawelskim i jak dowcipnie przekształca ją w historię o miłych złego początkach oraz zgubnych skutkach wszelkiej przesady.

Większość specjalistów, czujnych mam i innej maści wielbicieli jest zgodna – do reinterpretacji klasyki literatury dla dzieci artystka ma rękę wyjątkową i – cytując jedną z recenzji – posiada wyjątkową „umiejętność uspokajania narodowych emocji”. Nawet wówczas, gdy porusza się po obszarach takich czytelnicznych świętości, jak bajki Brzechwy. Znamy poniekąd jej sposoby – rozbrajające poczucie humoru, upodobanie do groteski, ale i poetyckość, stonowana, a raczej niezwykle świadomie stopniowana i dostosowywana do „temperatury uczuciowej scen” kolorystyka, uspokajająca, rytmiczna powtarzalność drobnych i większych elementów – te pracowicie wyczelowane trochę „dziewczyńskie” tła z listków, kropeczek, kwiatków nadające stronom cechy wyklejki. Wszystko to umiejętnie dozowane na przestrzeni książek – bo nie ulega wątpliwości, że choć sama książek autorskich nie tworzy – ilustratorka myśli książką i całością – sprawia, że Richter-Magnuszewska uchodzą „na sucho” wszelkie rewolucje. Cudownie mięsista tekturowa kora dębu, wspaniały czerwony berecik z antenką, budzący celne skojarzenia historyczne w dorosłym. I już zawsze będziemy podejrzewać, że gdy „dzięcioł opowiadał sobie”, słuchał tego ktoś jeszcze. Równie łatwo „tykamy” czerwono polakierowane pazurki i pierścionecek na palcu Babuleja. Szynkarka odmawiająca Szaławile pieczeni jako świnka, dziczek z dziewiczym rumieńcem niosący lisowi Witalisowi sadło...

I wreszcie mój przykład ulubiony. Sposób, w jaki widzi „The Scroobius Pip” (Takie coś). Bodaj równie nowoczesny, jak niegdyś ten Bohdana Butenki. Dezynwoltura, z jaką z żartobliwego nonsensownego tekstu Leara wydobywa głęboką przypowieść filozoficzną.

Jola Richter-Magnuszewska. Prawdziwe „takie coś z innej bajki”... Takie coś – bynajmniej wbrew pozorom – nie tak łatwe do sprowadzenia do kilku formułek czy schematów. Bajka, którą można „kupić” lub nie, ale na pewno nie można przegapić.

Beata Zborucka

